



Rozdział XV

- Wybaczcie spóźnienie. – powiedział Goku, po czym dokonał szybkiego rozeznania w sytuacji.

Z czterech przeciwników, pozostał tylko jeden – najsilniejszy. Dwóch nie nadawało się już do walki, jeden leżał martwy, bez głowy. Świetnie sobie poradzili, póki się nie zjawił.

Jeśli zaś chodziło o jego przyjaciół... Tien leżał martwy. Goten i Trunks też byli martwi, ale przybyli w postaci duchowej z zaświatów – teraz siedzieli razem i odpoczywali przed dalszą walką. Nie mógł ich w to angażować, w ich stanie było to zbyt niebezpieczne. Uub był nieprzytomny. Gohan... podbiegł szybko do syna i położył mu dłoń na piersi. Było z nim źle. Piccolo wyglądał na skrajnie wyczerpanego, a Vegeta...

Goku aż nadał policzki, tak mocno usiłował zdławić śmiech. Vegeta wyglądał jak małpa! Ta transformacja dała mu wiele siły.

Vegeta mógł chcieć się mieszać.

- Hej Vegeta! – zawołał. – Najpierw ja walczyć! Potem Ty możesz się z nim spróbować! - zawołał wskazując palcem na Wielkiego Dono.

- Kakarotto? – książkę saian był zaskoczony. – Sądzisz, że sam dasz mu radę? To zabójcy. Nie walczą jak nikt, z kimś spotkaliśmy się do tej pory... –Goku już to jednak nie słuchał, odwrócił się w stronę swojego przeciwnika.

- Hej ty! – zawołał. – To ty tak urządziłeś mojego syna?!

Wielki Dono spojrzał na niego spod oka.

- Czeka cię srogie lanie, a potem umrzesz. Przykro mi. – dopowiedział saianin domyśliwszy się odpowiedzi i zrzucił maskę i płaszcz.

- Co do stało z moim mężem?! – wrzasnęła Chi-Chi, kiedy na ekranie pojawiło się zbliżenie Goku. Zmiana koloru włosów i cherlawość (jak na saiyanskiego wojownika) były najmniejszymi z problemów. Jego oczy nadawały mu wygląd upiora, dopełniając przez pokryte bliznami ciało, oszpecone w wielu miejscach złowieszczymi, przypominającymi bliżej niezidentyfikowane pismo symbolami. – Co się z nim stało?!

- To dziadek był wojownikiem w masce... – powiedziała do siebie Pan, dla której ten fakt miał życiowe znaczenie. Zupełnie w inny sposób patrzyła teraz na cały turniej i swoją walkę, w której poznała cierpienie i panikę. Wiadomość, że jak kochający dziadek zrobił coś takiego... przełknęła ten gorzki smak, świadoma, że w inny sposób nie stałaby się prawdziwą wojowniczką.

Widziała teraz jak daleko jak jeszcze do dorosłych, nawet do Tensinhana z którym się mierzyła podczas turnieju. Dla niej walka była zabawą, czym innym mogła być dla dziecka, inni uczynili z niej coś więcej... nie знаła słowa, by to nazwać.

- Co on do cholery ze sobą zrobił?! – nadal krzyczała Chi-Chi. – Niech ja go dorwę!

- Nawet ja nie znam takiej magii, czy czegokolwiek, czym to jest... – powiedziała Gula, udzielając jednocześnie pomocy Popo, który stracił przytomność. - ...ale Goku trzyma się na nogach. Smocze kule mogą wszystko naprawić, o ile z Popo będzie wszystko w porządku.

- Co z nim? – wykazał się troską Krilan.

- On... – wiedźma próbowała przeświecić kamiego swoim szóstym zmysłem. - ...ma w sobie drugą istotę. Złą istotę. Teraz walczą ze sobą, tam, w środku... A jednocześnie jakby zupełnie gdzie indziej. To dla mnie zupełnie zawiłe, ale chyba Popo miał rację. Nie powinno nas tu być. W głębi Pałacu coś załomotało o drzwi.

Potem mocniej. I mocniej.

- To z Komnaty Ducha i Czasu. – stwierdziła Osiemnastka. – Przecież nie ma tam nikogo. Ktoś jednak był.

- Umarlak. – Wielki Dono splunął. – I takich jak ty mają tutaj?

- Nie. Swój stan zawdzięczam przyjaciołom z innego wszechświata.

Wielki Dono nic nie odpowiedział.

Zamiast tego wyciągnął przed siebie dłoń, tak szybko, że ruch był niedostrzegalny, jakby w starej poklatkowej animacji ułożono obok siebie dwa obrazki, na których pozy różniły się zbyt mocno.

Równie szybko z dłoni wystrzelił czarny promień, o dość nierównych krańcach, który zakrzywił i pożerał przestrzeń w swoim pobliżu.

Goku nie miał czasu na unik. Nawet nie ruszył się z miejsca.

- Ha! – krzyknął tylko uwalniając swoją moc i wyzwalając aurę.

Kiedy to zrobił, planeta zadrżała i pękła pod nim niemal do samego gorącego jądra. Ława wypłynęła i zalała łapczywie okolicę.

Czarny promień zaś nie mógł przebyć jego aury, skręcił się i rozmył, aż w końcu zniknął.

Goku natychmiast wygasił aurę, nie chcąc, by planeta uległa zniszczeniu.

- Zróbmy to lepiej w tradycyjny sposób. – powiedział i... już był obok Wielkiego Dono. Już jego ręka, wystrzelona w górę, uderzyła wprost w podbródek mistrza zakonu wędrowców, posyłając go na łopatki.

Goku nie wykorzystał okazji, by sponiewierać leżącego przeciwnika.

- Wstawaj. – ponaglał go. – Zagapiłeś się. Następnym razem będziesz ostrożniejszy.

Wielki Dono wpatrywał się w niego nieprzeniknionymi, nic nie wyrażającymi oczami. Już zapomniał, co to za uczucie, to, które teraz się w nim obudziło. Było zbyt zimna na ekscytację. Zbyt stonowane jak na gniew. Zbyt dojmujące ja na smutek. Czy on przypadkiem nie poczuł, że... przegra?

- Kim ty jesteś? – zapytał, podnosząc się na nogi.

- Wychowanym na Ziemi saiyaninem. – odpowiedział ten, czując przy tym coś na kształt dejavu. – Dużo trenowałem. – uprzedził kolejne pytanie. – Niedawno zdarzyło mi się umrzeć poza swoim światem, ale przyjaciele nie uratowali. Mój obecny stan ma jeden plus...

Łokieć Goku wbił się w brzuch Wielkiego Dono, aż ten złamał się w pół.

- ...moje ciało i tak jest martwa, więc nie ogranicza mojej mocy. Dysponuję pełnią siły, jaką posiadam, caluteńką ki, w każdym momencie.

- Już nigdy nie staniesz się silniejszy. –odparł Dono.

- Tak, to jest minus.

Podcięcie znów zważyło go na plecy.

- Chyba nie dajesz z siebie wszystkiego... –stwierdził Goku, obawiając się przy tym czegoś. – Nie nadasz się chyba na wymianę...

- O czym ty...

Nie dokończył.

Obydwaj w jednym momencie odwrócili głowy mi niebu, ku miejscu, gdzie te wybuchło.

Ku Pałacowi Wszechmogącego... a przynajmniej kierunku, gazu ten był kiedyś. Teraz można było zobaczyć tam jedynie cienką jak nić zapalną, której spopielona główka płonęła żywym ogniem, unosząc się aż do krańców atmosfery.

Wstawaj, wstawaj mówię!

Głos gdzieś z środka nie pozwalał mu zasnąć.

Tak bardzo chciało mu się spać... wokół panował jedynie chłód i białe zimno, za to sam otulał go ciemnością i ciszą niczym kołdrą z najcieplejszego puchu...

Wstawaj, ty rozpuszczona pizdo!

Tak ciężko mu było otworzyć oczy, choć krzyk stawał się uporczywy i drażniący. Zimno obejmowało jego ciało, już nie czuł swoich kończyn... chłód i białe zimno... jedynie sen dawał mu błogą i ciepłą ciemność...

Wstawaj, bo sam skopie ci dupsko!

Powoli, walcząc z przemożnym zimnem, które przymroziło mu powieki do policzków, otworzył oczy.

Cały Pałac utonął w ogniu.

Starannie pielęgnowane krzewy, którym Popo poświęcał tyle czasu, wszystkie komnaty, kuchnia, dzieła sztuki. Wszystko płonęło.

- Całe szczęście, że miałam przy sobie kieszonkowy portal. – odetchnęła Gula, chowając do kieszeni kapsułkę.

- Mój tata takich nie produkuje. – zauważyła Bulma.

- Bo to nie jest produkt Capsule Corp. – odparła enigmatycznie wiedźma.

Całe szczęście, że w chwili, gdy dobiegł ich hałas z Komnaty Ducha i Czasu, postanowiła działać szybko. Udało się jej nakłonić pozostałych, by nie sprawdzali źródła dźwięku, tylko wzięli nogi za pas. Przenieśli się dosłownie w ostatnim momencie – gdy zamykała portal, już stojąc w holu swojego pałacu, Pałac Wszechmogącego wybuchł i wszystko zajęło się ogniem. Zobaczyła jeszcze jakąś sylwetkę pośród płomieni i podprzestrzenne drzwi zamknęły się. Wszyscy zebrani byli przerażeni i zaskoczeni. Ci, którzy potrafili wyczuwać ki, mieli do tego dodatkowy powód – intruz, który zjawił się w Pałacu musiał być potężny i rządzony krwi... Za to Popo poczuł się lepiej, jakby zdjęto z jego barków ogromny ciężar. Odzyskał przytomność i podniósł się na nogi. Całkiem chude i umięśnione nogi. Nie zauważyli w którym momencie zmieniła się jego postura, ale nie był już okrągłym grubaskiem, wyglądał jak wojownik z prawdziwego zdarzenia.

- Już nie masz w sobie tego, co cię krępowało. – stwierdziła Gula. Nie potrzebowała szóstego zmysłu, by to wywnioskować.

- Nie. – przytaknął. – Wyszło drzwiami, które sam stworzyłem, a teraz musimy to powstrzymać.

Goku znalazł się w pobliżu Pałacu Wszechmogącego w mgnieniu oka, nie zważając na walkę, którą toczył do tej pory. Jego przeciwnik przyleciał tu tuż za nim, zawisł w powietrzu obok niego, ale nie atakował.

- To jeden z was? – zapytał bez przekonania.

- Nie. – zaprzeczył saianin. – Muszę sprawdzić, co się dzieje. Nasza walka może poczekać. – stwierdził i wleciał w płomienie.

Bez trudu znalazł powód całego zamieszania. Był niczym wielki emitent ki, która wylewała się z niego na wszystkie strony i sama powodowała powstawanie płomieni wokół.

- Kim jesteś? – Goku wylądował kilka kroków od tajemniczej postaci. Na pierwszy rzut oka wyglądała na człowieka, mężczyznę. Stał nagi pośród ognia.

- Czy ty jesteś po mojej krwi? – powiedział nieznajomy.

- Co tu się stało? Gdzie Popo? Gdzie wszyscy? – dopytywał saianin, który miał jakieś rozeznanie w tym co działo się podczas jego nieobecności. Zaraz jednak wyczuł ki swoich przyjaciół w miejscu, która dobrze znał. – Uff... uciekli. – powiedział do siebie. - Nie wiem coś za jeden, ale nie możesz tak wpadać i niszczyć...

W ostatniej chwili Goku sparował cios. Chwycił pięść nieznajomego tuż przed swoją klatką piersiową. Dała uderzeniowa zatrzymanego ataku była tak duża, że płomienie wokół nich przygasły.

- Silny. – powiedział nieznany mężczyzna z satysfakcją w głosie. – Z przyjemnością cię zabiję. – gdy tylko dokończył, odskoczył na krok.

Czarny promień uderzył w miejsce, w którym stał przed chwilą. Połowa posadzki Pałacu przestała istnieć, nim Dono przerwał atak.

- Miałeś się nie wtrącać! – zaprotestował Goku.

- Nie wyczuwasz tego? – odezwał się Niszczyciel Światów. – Trzeba to powstrzymać nim się transformuje!

Nieznajomy tylko się uśmiechnął, a potem krzyknął uwalniając w jednym momencie całą swoją furie.

Było już za późno.

Kaibito siedział przed kryształową kulą, ale nie obchodziło go to, co mógł w niej zobaczyć. Energia, jaka sączyła się z Ziemi, już odznaczała swoje piętno w zaświatach i świecie bogów. Dusze znikwały, niektóre przebijały granicę i pojawiały się na planecie kaiośninów, kompletnie zagubione. Potępieńcy z piekła chadzali po węzowej drodze, na której zaczęły się pojawiać odgałęzienia, prowadzące na planety śmiertelników.

Roukaishin już widział kiedyś coś podobnego. Dawno, dawno temu, gdy był ledwie młodzikiem, uczącym się na boga wszechświata.

Teraz historia się powtarzała.

- Brocolli... – wyszeptał cicho imię, jak widmo z przeszłości.

Spóźnił się.

Gdy tylko odzyskał przytomność i siły, popędził z domu Baby Guli spowrotem do Pałacu, by wspomóc Goku i Dono w walce. Miał nadzieję, że nie dopuszczą do transformacji... ale pozwolili na nią. Dobrze znał Goku i wiedział, że on instynktownie wyczuwa więcej, niż sam przyznaje – z pewnością wiedział, że jego nowy przeciwnik posiada większą moc, niż pokazuje... Głupi! Nie miał pojęcia, z kim... Z czym ma do czynienia.

Gdy zjawił się na miejscu, Brocolli walczył z Dono – o ile krótką wymianę ciosów, po której ledwie przytomny starszy brat Dono wpadł w gruzy i płomienie, posłany tam potężnym kopnięciem, które Popo ledwie spostrzegł.

Po czarnowłosym, średniej postury mężczyźnie nie było śladu. W jego miejsce pojawiła się zguba i zagłada sprzed wieków. Wielki, umięśniony tytan o złotych poskręcanych w stronki włosach, które od innych super-saiyan odróżniał ledwo dostrzegalne zielony poblask. Zielona była także jego aura, oraz źrenice i tęczęwki oczu, choć te znikwały, kiedy unosił się gniewem. Taki był Brocolli – pierwszy, legendarny super-saiyanin. Pamięć o terrorze, jaki zaprowadził we wszechświecie przetrwała w opowieściach, by pomóc pokolenia później innym saiyanom pójść w jego ślady i przewyciężyć swoje ograniczenia.

Ale on był inny od nich. Wyjątkowy. Przerażająco wyjątkowy...

- Popo, to ty? – zawołał go Goku. – Już nie masz w sobie tej dziwnej aury co zawsze. – zauważył saiyanin, zupełnie przy tym omijając kwestię zmienionego wyglądu Popo, a nowy Wszechmogący po raz kolejny musiał docenić przenikliwość wojownika, którego na co dzień wszyscy uważali za niezbyt inteligentnego.

Co jak co, ale do walki Goku miał wybitny talent.

- Teraz moja kolej! – krzyknął zaraz obrońca Ziemi do Wielkiego Dono, który wyszedł z ognia, i ruszył na Brocoliego.

Uderzył serią ciosów, tak zawiła i nieprzewidywalna, że nie sposób było się rozeznąć, co jest prawdziwym atakiem a co tylko blefem i pułapką. Wysoki hak był jedynie zaproszeniem, by Brocolli się odstąpił przy próbie ataku w podbrzusze Goku – ten już zmieniał środek ciężkości tak, by obrócić się w powietrzu i zdzielić wroga w kark łokciem ręki, która markując cios wystrzeliła do góry. Kopnięcie z półobrotu, zablokowane przez giganta, miało być tylko przyczynkiem do założenia mu klamry szyję. Goku w jednej chwili potrafił wykonywać najbardziej wymagające akrobacje, przy tym nie obawiał się przyjąć ciosu, by samemu móc zaatakować... W końcu martwa ciało nie czuło bólu.

Brocolli łapał się w jego pułapki, nie posiadał takiego doświadczenia doświadczenia prowadzeniu walki z różnymi sobie przeciwnikami – posiadał za to siłę. Z każdym ciosem Goku jego gniew, oraz jego ki rosły.

- Haaa! – ryknął, wpadając w furie. Nie zważając na padające ciosy, obijające mu twarz, przebił się brutalną siłą przez obronę Goku i złapał go za głowę. Ścisnął ją potężnie niczym imadło, niemalże łamiąc kości czaszki i saianina, po czym rzucił nim w ogień, kiedy dwie dziury wypaliły się w jego dłoni.

Goku potrafił się bronić. Promienie ki z oczu były idealne w podwójnych sytuacjach.

- Brocolli! – Popo w końcu wszedł do akcji. Zaatakował serią szybkich kopnięć, po czym okręcił się do góry nogami i zaczął strzelać z dłoni niczym w dwóch energetycznych karabinów. Każdy pocisk był skalibrowany na to, by dotrzeć do wrażliwych części ciała celu i przebić je, zadając jak największe obrażenia.

Te, które nie trafiły, zawracały, te, która odbiły się od obrony Brocoliego, atakowały ponownie, póki nie spełniły swojego celu, albo nie wypaliły całej swojej energii.

Gigant doznał wielu ran, ale wydawał się tym nie przejmować.

- Tylko na tyle cię stać?! – znów ryknął, a wokół niego powstała sferyczna aura, w której spaliły się wszystkie pozostałe pociski.

Potem sam wystrzelił.

Jeden.

Promień rażenia był tak wielki, że Popo ledwie uciekł z jego zasięgu. Mars nie miał tyle szczęścia. Planeta przypadkiem napatoczyła się na trasę pędzącej w kosmos fali ki i została pomniejszona o połowę.

Ki Brocoliego znów wzrosło.

- Musimy działać razem. – stwierdził Wielki Dono. – Jego moc rośnie, niedługo nie będziemy mogli go powstrzymać. Trzeba działać szybko. – podsumował, po czym zaczął odpinać elementy zbroi. Opadła z ciężkim łoskotem na podłogę pałacu, niszcząc nieliczne z ocalałych płytek posadzki. Wielki Dono mógł teraz uwolnić swoją moc. Nosiło to ryzyko dla okolicznych światów, ale istnienie tego czegoś z czym walczyli było o wiele groźniejsze. – Dono-ken!

Krzyknął, uwalniając swoją moc, a daleko pod nimi planeta zadrżała.

Wstrząs, jaki przeszedł przez skorupę Ziemi, natchnął ich niepokojem, kiedy poprzewracali się zapatrzeni w szklaną kulę Baby Guli. Pałac przetrwał trzęsienie, czego nie można było powiedzieć o wielu budynkach na całej planecie, które nie były tak trwałe jak wzmacniana magią konstrukcja.

Prezydent świata wydał w telewizji specjalna obwieszczenie o stanie wyjątkowym, zalecił udanie się do miejsc, gdzie służby miały zapewnić bezpieczeństwo, dostawy wody i żywności. Na ulicach wszystkich miast wybuchła panika, a ogień pośród nieba utwierdził tylko ludzi w przekonaniu, że to koniec świata właśnie nadszedł.

Wtedy w salonie Baby Guli pojawił się biały kot z krukiem na ramieniu, w towarzystwie kilku starców wyglądających na magów.

- Gula! Jesteś nam potrzebna. – zamiauczał Karin.

- Do czego niby? – zerknęła szybko na twarze zebranych. – Widzę, że zramolale dziadki ze wszystkich stronnictw są z tobą.

- To nie czas na kłótnie. – urwał dyskusję Karin, stanowczy jak nigdy dotąd. – Mamy plan.

Żeby ochronić Ziemię musimy stworzyć wielki i stabilny pozaprzestrzenny wymiar...

- Goku uważaj! – krzyknął ktoś zapatrzony w szklaną kulę.

- Nawet wszyscy razem nie mamy tyle siły, żeby stworzyć wymiar, który utrzyma tak ogromne walczące ki...

Kot uśmiechnął się spod wąsów.

- Dlatego to nie ich zamknięty w innym wymiarze. – stwierdził enigmatycznie, po czym po chwili dodał – Zamkniemy cały świat poza nimi.

Vegeta był głodny i obolały. Bardzo głodny i bardzo obolały, a nie miał przy sobie fasolki sens i, która mogłaby przywrócić go do stanu rześkości – ale miał za to najnowszy wynalazek Bulmy: pigułki niwelujące głód. Może nie ukoją obolałych mięśni, Ale książkę saian przyzwyczajony był do zmęczenia, za to napęlnią mu żołądek i dadzą siły do kolejnej transformacji. Łyknął od razu garść.

Poczuł jak przyjemne ciepło wypełnia jego ciało. Działały bardzo dobrze.

- Hej wy! – zawołał do chłopaków. – Czemu tak siedzicie? Nie chcecie walczyć?

Trunks i Goten, którzy przenieśli Gohana i okryli płaszczem jednego z Wędrowców, by dać mu trochę ciepła, a teraz wyciągnawszy dłonie w jego kierunku, emitowany gorące fale ki, spojrzeli na Vegetę jak na szaleńca.

- Tamci są kompletnie poza naszym zasięgiem. – odpowiedział Piccolo zamiast nich. Siedział na kamieniu i rozciągał mięśnie. – Trzeba pomóc naszym. Uub stracił przytomność, Gohan ledwo żyje...

- Tchórze. – Vegeta prychnął. – Może poza waszym zasięgiem. Nie moim. – rzucił na odchodne i wystrzelił w powietrze.

Jeszcze w locie przemienił się w Małpiego Króla i w mig dotarł na miejsce potyczki. Postanowił się nie zatrzymywać i wykorzystać element zaskoczenia. Akurat, kiedy przypominający mu super-saiyanina olbrzym wysłał Goku wysoko w górę, a Popo i Rero próbowali to zająć, by nie zaatakował tamtego ponownie, Vegeta wkroczył do akcji. Rzucił się na Brocoliego w swoim trudnym do przewidzenia małpim stylu i, wyminawszy jego uderzenie, ścisnął jego szyję nogami, zaś rękoma zaczął okładać go w głowę. Olbrzym przyjął kilka ciosów, Dono udało się nawet dźgnąć go skrytobójczym nożem wędrowców, który w każdym ciele zostawi ranę, jednak to tylko go rozwścieczyło. Nie zważając na ciosy braci, chwycił Vegetę i zerwał to dosłownie ze swoich barków, dając popis tytanicznej siły. Chwycił go za ogon tak mocno, że książkę saiyan mimowolnie jęknął po czym zakręcił nim młynka niczym maczuga, trafiając przy tym Popo i Dono. Wtedy z wysoka spadł Goku, mocnym kopnięciem prosto w twarz posłał Brocoliego wprost w ruiny pałacu.

- Masz! – zawołał z zadowoleniem.

Usłyszeli dziki krzyk i ruiny eksplodowały.

Ki Brocoliego jeszcze bardziej urosła.

Ziemia zatrzęsa się rozpaczliwie. Ogromne fale tsunami obiegały całą planetę. Wybuchy wulkanów wyrzucały w powietrze tony pyłu i dwutlenku węgla... a na ulicach miast, w wioskach i lasach zaczęły pojawiać się dawno zmarli.

- W końcu się wzięłeś w garść, dziadku. Nie wiedziałem ile jeszcze będę miał czekać nim podniesiesz ten swój tyłek.

Kiedy otworzył oczy, zauważył, że jest w dobrze sobie znanym miejscu. Paraliżujące zimno nadal obejmowało jego ciało, jednak jakieś ciepło z zewnątrz, ze źródła, którego nie potrafił ustalić, próbowało to ogrzać.

- To arena z Turnieju Cella. – powiedział trochę do siebie, trochę do dziecka, które stało naprzeciw niego.

- Tak! – zawołał złotowłosy chłopiec. – Tu mnie porzuciłeś. I to dla czego? – wskazał na niego oskarżycielskim gestem.

Gohan spojrzał po sobie.

Był ubrany w garnitur, w którym przyjmował dyplom doktora. Miał nawet krawat z herbem Uniwersytetu Satan City, a pod ręką aktówkę.

Wstał i otrzepał kolana z kurzu.

- Nigdy się nie prosiłem o tę moc! –wzburzył się. –Walczyłem, kiedy było trzeba! Nie chowałem się za plecami innych...

- Nie? Pamiętasz Buu?

- Walczyłem z nim! – zaprotestował Gohan. – Dokonywałem transformacji, za równo przedtem i potem, niedawno...

- To nazywasz walką? Przestraszenie paru śmieci, których i bez tego pokonałbyś wszystkich na raz jednym ciosem?! To jest transformacja! – krzyknął złotowłosey i na turnieju rozpoczęła się walka. Gohan pamiętał ją, sam w niej uczestniczył. Wtedy o raz pierwszy zmienił się w super-saiyanina drugiego stopnia. – Patrz na to! Patrz, jaki byłeś, Kiedy nie bałeś się własnej mocy! Kiedy nie uciekałeś mąż widok własnego cienia!

- Czego ode mnie chcesz?! – krzyknął. – Jesteś tylko dzieckiem. Tylko mną z przeszłości, który jeszcze nic nie rozumie i nie wie jak działa świat. Nie jest mężem, ojcem... Nic nie wiesz!

- Wiem, że gdybyś nie bał się tego – pokazał akurat moment, gdy Gohan zabijał Cellow Juniorów. – miałbyś szansę, by wszystkich uratować!

- Rytuał pozwolił uwolnić mi cały mój potencjał... – próbował się wytłumaczyć, już jakby złamany. Do tego było mu tak zimno... mimo ciepła, które przybywało do niego z zewnątrz.

- Ale nie mój potencjał!

Padł znów na kolana.

- Co mam zrobić... powiedz, co mam zrobić? – zawołał ze łzami w oczach.

- Zaufaj mi. – odpowiedział Gohan z przeszłości i wyciągnął do niego rękę. Fala ciepła ogarnęła to wraz z aurą dawnego siebie. – I chodź! Dość czasu straciliśmy.

Podali sobie dłonie.

- Co się dzieje?! – Bulma była bliska rozpaczey. Wszystko, czego się dowiedziała i co zaszło w kilkanaście ostatnich minut zupełnie zbiło ją z pantałyku. – Niech oni się pośpiesza i przeniosą wreszcie tę cholerna planetę! - ...chyba oszalałam, że to mówię, dodała w myślach.

- Nie jest dobrze. – odezwał się Genialny Żółw. – Vegeta im pomógł, ale to nic nie dało... znów zaczynają przegrywać... Ten potwór jest coraz silniejszy.

- Ten wstrząs sprzed chwili... – wtrącił Krilan. – To Gohan! – zawołał z entuzjazmem.

- To przez niego teraz Ziemia niemal się nie rozpadła? – Bulma nie była zadowolona.

- Mój syn ratuje świat! – Chi-Chi nie spodobały się podobne aluzje.

Atmosfera była nerwowa.

- Wszyscy musicie się uspokoić. – odezwał się siwowłosey dziadek, który nie wiadomo jak pojawił się w rogu sali. – Gniew nic wam teraz nie da. – spojrzał na obraz wyświetlany w szklanej kuli. – Mój wnuczek... – zamyślił się i uśmiechnął.

- Kim ty do cholery jesteś? I co tu robisz?! – wrzasnęła Bulma.

- Gohan? – Kamesennin aż zdjął przyciemniane okulary. – Gohan! Stary przyku tak dawno cię nie widziałem! – serdecznie uściskał przyjaciela z lat młodości. – Jak się tu znalazłeś?

- Szczerze mówiąc, to sam nie za bardzo wiem... – stary Gohan podrapał się po głowie.

Nie zdążyli porozmawiać dłużej. suficie otworzyła się dziura, przez którą do środka wleciała Gula razem z Konkarasu. Nie było z nimi Karina ani reszty ludzi, w których towarzystwie opuściła pałac.

Portal, mimo deszczu na zewnątrz, pozostawał otwarty. Widać było, że obydwójgu się śpieszy.

- Wszystko już gotowe. – o ile ten szalony plan zadziała, dodała wiedźma w myślach. – Teraz potrzebujemy waszej pomocy!

Brocolli stawał się coraz silniejszy.

I był coraz bardziej wściekły.

Sytuacja, kiedy atakowany wpadał w amok były coraz częstsze i trwały coraz dłużej, a wtedy nikt i nic nie mogło go powstrzymać. Czwórka wojowników dawała z siebie wszystko, jednak nie sposób było walczyć z wrogiem, którego moc rosła bez ograniczeń.

Po kolejnej próbie ataku Goku został posłany na łopatki. Spadając, przebił się przez ruiny Pałacu Wszechmogącego na wskroś i wpadł na szczęście do oceanu, tylko wywołując kolejne ogromne tsunami, pustoszące populacje wybrzeży, ale chociaż planeta pozostała w jednym kawałku.

- Czym on do cholery jest?! – Vegeta był zdesperowany. Kochał walkę i niebezpieczeństwo, ale to był przeciwnik, którego nie można było pokonać.

- To pierwszy super-saiyanin. – wyznał mi Popo.

- Nie ma ogona... – zauważył książkę saian. –Starożytni saianie odcinali je przestępcom.

- Mordercom. – poprawił go Popo.

Brocolli sponiewierał Goku, ale nie miał zamiaru na tym poprzestać. Kochał destrukcję, a test, kiedy najsilniejszy przeciwnik został posłany na deski, pojawiła się okazja, by jej dokonać.

- Zryj to! – wrzasnął i wystrzelił promień ki tam, gdzie spadł saianin. Atak był tak potężny, że bez wątpienia zniszczyłby całą planetę. To była prawdziwa apokalipsa.

- Nie pozwolę ci na to! – Popo ruszył do akcji.

Stanął na linii strzału i stworzył tarczę, tak samo, jak niemal przed rokiem, gdy Rero i Koko walczyli z Vegeta i Gohanem. Tak niewiele czasu upłynęło od tamtej chwili, a wszystko się zupełnie pozmieniało... Popo, wystawiony na atak, czuł, jakby czas wokół niego zwolnił. Szybki niemal jak światło promień zbliżał się do niego, a mu się wydawało, że całe życie zdąży mu przepłynąć przed oczami. Czy tak czuję się ktoś, kto staje oko w oko z wizją nieuchronnej śmierci?

Fala dzikiej ki uderzyła o jego tarczę.

Atak Brocolliego był zupełnie nieprofesjonalny. Nieukierunkowany, nieoszczędny, nieobmyślony na konkretny cel – to był czysty chaos. Był przy tym tak potężny, że Popo nie dawał mu rady. Tarcza pękła już po kilku sekundach.

Na szczęście obok zjawił się Dono.

- Nie pozwolę ci tutaj umrzeć... – wycodził przez zęby zaciśnięte z wysiłku. Teraz obydwaj utrzymywali barierę, odgradzającą życie na Ziemi od końca świata. - ...póki nie porozmawiamy.

Atak jednak nie ustawał i ich wspólne wysiłki mogły być niewystarczające. Tarcza pękała z wolną, kawałek po kawałku...

Wtedy nadleciał złoty grom.

Uderzył prosto w Brocoliego.

Gohan czuł w sobie moc – i było to najlepsze uczucie, jakiego doznał w życiu. Po raz pierwszy w pełni świadomie, nie pod wpływem wzburzenia które zasłaniało mu osąd, uwolnił to, co było w nim głęboko ukryte i chciało się wyrwać na wolność.

Kiedyś, lata temu, trenował wraz ze swoim ojcem w Komnacie Ducha i Czasu, teraz kompletnie zniszczonej w trakcie walki. Udało im się wtedy opanować do perfekcji poziom super-saiyanina... ale zupełnie nie rozumiał, co to właściwie oznaczało. Mogli nieustannie przebywać w tej latach, nie tracili energii na utrzymanie poziomu, nie wydzielali aury bez potrzeby... czyli perfekcyjnie manipulowali ki! Przynajmniej w pewnym zakresie. Teraz Gohan potrafił skłonić swoją energię do działania z chirurgiczną precyzją, potrafił też wykrzesać z siebie całą moc przez uwolnienie potencjału – jak mógł wcześniej nie wpaść na to, że to także można połączyć z mocą, którą miał w genach?!

Teraz, gdy stanął w obliczu śmierci, doznał olśnienia.

I czuł, że nic nie może to powstrzymać.

Zaatakował błyskawicznie, uderzając przeciwnika prosto w twarz. Brocolli zaskoczony ciosem przerwał swój atak, którym próbował zniszczyć Ziemię, odleciał parę metrów w tył. Gohan wiedział, że nie może stracić inicjatywy, więc atakował, atakował, atakował.

Zasypywał przeciwnika gradem ciosów. Lewy prosty, prawy sierpowy, kolano w wątrobę, kopnięcie z półobrotu...

Chociaż Brocolli wściekał się i jego moc rosła, nie potrafił złapać perfekcyjnego super-saiyanina, który był ustnym demonem szybkości, do tego każdy atak i unik miał przekalkulowany i zaplanowany o trzy kroki naprzód. Gohan nie ustawał w atakach.

- To Gohan! – ucieszył się Goku, który właśnie wrócił. – On... dominuje nad tym potworem! – ojcowski duma rozpierała saiyanina, kiedy widział, jak daleko zaszedł jego syn. Udało mu się go przeciągnąć. Goku dobrze wiedział, że kiedyś do tego dojdzie. Jego syn był wyjątkowy, wyjątkowy od samego początku.

- Dobry jest, szczeniak... – potwierdził Vegeta, poobijany i ledwie utrzymujący transformację. Dołączyli do nich Popo i Dono, obydwaj wyczerpani i zakrwawieni przez juchę, która wyciekała im obficie z nozdrzy.

Wszyscy oglądali spektakl, jak oczarowani.

A Gohanbił swojego przeciwnika.

- Dobrze, to jest odpowiedni moment. – zawyrokowała Baba Gula. – Wiecie, co macie robić. Wszyscy zebrani na szczycie pałacu więdźmy przytaknęli. Prócz Krilana i Yamchy, którzy byli na miejscu, udało się zaangażować do realizacji planu Piccoli, Trunksa i Gotena – Karin sam się po nich udał, nie zważając na niebezpieczeństwo.

Zasadniczo plan był prosty: czwórka z nich miała wznieść się wysoko w górę, aż na kraniec atmosfery i rozciągnąć między sobą linę, podobną do kija samobija, zmieniającą swoją

długość wedle życzenia właściciela. Rozciągać mieli ją Tak długo, aż utworzony kwadrat zmieści w sobie całą Ziemię. Później mieli tylko przelecieć przy niej tak, by przeszła przez otwór. To tyle.

Piccolo też miał proste zadanie – gdy Ziemia znajdzie się po drugiej stronie, musiał zniszczyć wieżę prowadzącą do Pałacu Wszechmogącego, tak by nie miał on łączności z powierzchnią planety.

Najtrudniejsza część należała do magów.

Ta skłócona i niezorganizowana grupa musiała teraz działać niczym jeden organizm. Każdy z rozsianych po świecie czasowników i czarownic musiał inkantować w tym samym czasie to samo zaklęcie, swoje myśli i nic kierując ku rozciągającej się nad planetą linię, budując cegielka po cegielce mentalną makietę furtki do atrapowego wymiaru, największego jaki można było sobie wyobrazić i robić to tak długo, aż wszyscy uwierzą w jego istnienie na tyle mocno, by naprawdę zaistniał.

To była kreatorska moc umysłu podniesiona do potęgi i wystarczył jeden błąd, by wszystko się zawaliło i zakończyło nie wiadomo jak (nikt inny nie robił wcześniej niczego podobnego).

- Zaczynamy! – Gula dała znak i bohaterowie wystartowali.

Gohan bił swojego przeciwnika.

...A potem Broccoli zaczął bić jego.

Już niemalże wyglądało na to, że mimo swojej furii nie znajdzie sposobu na tańczącego wokół niego złotowłosego demona śmierci, wydawało się, że ta bezradność męczy Brocolliego i z wolna traci on swój rozped, tak jak wieki temu, kiedy pokonał go Popo. Wtedy jednak jeszcze nigdy nie zaznał porażki i to, że ktoś jest w stanie oprzeć się jego mocy było dla niego szokiem – teraz był bogatszy o tamto doświadczenie. I o wiele, wiele silniejszy.

W końcu stał się tak silny, że nawet demoniczna szybkość Gohana przestała być dla niego problemem.

- Musimy mu pomóc! – Goku rzucił się do ataku, a pozostała trójka za nim.

Wtedy Broccoli uderzył ucznia Popo tak mocno, że ten pomknął na spotkanie swoim wybawcom i wpadł na księcia saian, posyłając to za sobą na resztki posadzki Pałacu Wszechmogącego.

W górze nad nimi Goku i bracia z innego wszechświata dostawali tęgi łomot.

- Szkoda, że nie mamy smoczych kul. – wyraził głośno swoją myśl Vegeta.

- Na co ci one? Smok nie dałby ci takiej siły, ani nie zabił Brocolliego.

Vegeta spojrzał na syna swojego największego rywala z szelmowskim uśmiechem.

- Wystarczyłoby, gdyby zwrócił tamtemu ogon. – powiedział, jakby to był najbardziej oczywisty w świecie fakt. – Skoro ja nie mogę być super-saiyaninem, to...

Kiedy to mówił, Popo padł na Ziemię, powodując kolejny wstrząs (skorupa planety już powoli zaczynała pękać, jeszcze jeden cios, a niechybnie rozleciałaby się w pył). Już nie dane mu było wstać, by kontynuować tę walkę. Żył, ale ledwo...

- No tak! – ucieszył się były naukowiec. – To jest myśl!
- I co z tego, skoro kulę jeszcze się nie zregenerowały. – uciał jego nadzieje książkę saiyan.
- Niepotrzebne nam kule. Możemy mieć coś lepszego.

Kiedy mną potrząsał, czułem, jakby ktoś kawałek po kawałku wyrywał mnie z objęć śmierci. Każdorazowa przemiana spychała nie ma dno otchłani, w której zwykle siedział mój wewnętrzny demon i z której ciężko było się wydostać.

- Uub, wstawaj, rozkazuje ci! –krzyczał Vegeta. – Masz mnie słuchać, głupi uczniu! To nie czas na spanie!

Z wysiłkiem powróciłem do przytomności.

- Mam dla ciebie zadanie. Polecisz... – słuchałem wyjaśnień, a świat wirował mi przed oczami. Informacji było bardzo wiele i padały w tak krótkim czasie, że czułem się kompletnie zdezorientowany.

Nie wiedziałem kto jest naszym wrogiem, jak do tego doszło i dlaczego.

- Zbieraj się, już! – ponaglił mnie mój nowy mistrz, więc zabrałem się do roboty.

- Pani Gulo! Szukam pani Guli! – Uub bez pudła trafił do domu wiedźmy, kierując się ki znanych mu osób, jednak pozostał pewien problem: zupełnie nie wiedział, do kogo ma się zwrócić. – Pani Gulo! – wołał.

- Cicho! – zbeształ go jakiś podstarzały jegomość, kiedy Uub wylądował na dachu. – Baba Gula jest teraz bardzo zajęta i nikt nie może zaburzać jej spokoju.

- Ale to bardzo ważne! – protestował czarnoskóry posłaniec. –To może uratować świat!

- Ona właśnie ratuje świat. – nie dawał za wygraną mężczyzna. – Czego właściwie od niej potrzebujesz? – postanowił w końcu zapytać.

- Nie od niej samej, ale od jej ucznia – wyjaśniał Uub. – Yowa... Yowo...

- Yowamuchi. –dopowiedział za niego. – To ja. W czym mogę ci pomóc?

Najpierw rozpięli linę, tak, by cała planeta mogła przejść przez pętlę. Nie było to szczególnie wymagające, tym bardziej, że zostawili sobie taki zapas, by na pewno się nie pomylić.

Ograniczała ich jedynie wielkość atmosfery – rozszerzonym powietrzem oddychało się ciężko, na szczęście nie musieli z nikim teraz walczyć i mogli na spokojnie realizować misję, równie ważną, co pokonanie zagrażającego Ziemi przeciwnika.

W końcu jaka korzyść będzie z poskromienia go, kiedy wszystko, wraz ze skoczył i kulami, zostanie zniszczone?

Trunks wcześniej zastanawiał się, co w ogóle będzie z walczącymi, kiedy Ziemia zniknie, ale dowiedział się od kruka, że ona nigdzie nie „zniknie”, będzie tylko tak jakby zakryta, pod płaszczem przestrzeni. Nie przekonywało go takie mistyczna wytłumaczenie. Nikt nie wiedział, jak zachowa się grawitacja obiektu takiej wielkości przeniesionego w pozaprzestrzeń... ani co będzie z samą planetą, nawet jeżeli się to uda. Przecież jak ruch był zależny od przyciągania

Słońca, pływy oceanów regulował księżyc, była elementem całego układu planet, a wszystko poza nią zostanie tutaj...

Cała ludzkość zależała od tego, jak bujną wyobraźnię ma paru dziadków, bo w praktyce to tam miała przebywać Ziemia – każda gwiazda na atrapowym niebie będzie obiektem pamięci i myśli czarowników.

Pozostali nie mieli takich rozterek.

Gdy nadszedł czas, kiedy lina była aż gorąca od zakłęb, a w przestrzeni wewnątrz ogromnej pętli obraz zaczął migotać i lekko falować, wszyscy przystąpili do akcji.

Trzy sekundy do zetknięcia przejścia z powierzchnią planety.

Dwie sekundy.

Jedna.

Stało się!

Nic nie towarzyszyło temu fenomenowi na skalę kosmiczną. Obyło się bez błysku światła, wybuchów, wstrząsów. Na szczęście.

Ziemia gładko, tak, jakby po prostu kontynuowała swoją wędrówkę, znikła w gigantycznej pętli. Z jednej strony widać było część globu, po drugiej była tylko kosmiczną pustka, jakby ktoś przeciął całą planetę wielkim nożem.

Już prawie cała znalazła się w innym wymiarze. Czwórka operatorów magicznej liny zaczęła zmniejszać otwór, zamykając tym samym Ziemię po drugiej stronie, tak, by zabłąkany promień energii się do niej nie przedarł.

Teraz był czas, by Piccolo wysadził wieżę Wszechmogącego.

Nad nim trwała walka, w której Brocolli coraz bardziej dominował. Nie pomagało doświadczenie Goku i jego nieznaną bólu i zmęczenia ciało. Nie wystarczała szybkość i moc Gohana, ani szalony styl walki Vegety. Małym pożytkiem był też Wielki Dono, nawet jego skrytobójcze techniki nie były groźne dla tytana o nieograniczonej potędze.

Obrońcy wszechświata przed w walce z tym potworem nie mieli czasu nawet przyjrzeć się, jak z sekundy na sekundę znika planeta pod nimi – przynajmniej do czasu, kiedy znokautowany Dono nie wystrzelił z siłą grzmotu w tamtym kierunku.

Furtka do pozaprzestrzeni, w której przebywała Ziemia, miała już tylko kilkadziesiąt kilometrów.

- Szybciej! – wrzasnął Trunks. Mimo, że niemal zamknęli Ziemię w innym wymiarze, księżyc nadal pozostawał na swojej orbicie, a atmosfera nadal trzymała się swojego miejsca. Magia to była przedziwna sprawa...

Przyspieszyli na tyle, na ile pozwalały możliwości liny. Dono był coraz bliżej...

- Kurwa! – zaklął Piccolo i wysadził wieżę Wszechmogącego w powietrze. Pałac zaczął spadać w jego kierunku. – Kończcie to gównie!

Czwórka trzymających linę bohaterów robiła, co mogła. Magiczny sznur rozgrzał się do granic możliwości.

Zostało kilkanaście kilometrów...

Nieprzypadkiem Dono zmierzał wprost ku środkowi otworu, niczym kotka do tarczy, a za nim spadały ruiny Pałacu Wszechmogącego.

Wtem z międzywymiarowej bramy wystrzelił różowy pocisk. Uub bez wahania kopnął nieprzyjemnego Dono w kierunku ruin, jakby to nie był niszczyciel światów, tylko ogromna piłka. Gdy oba obiekty zderzyły się, Pałac rozpadł się w końcu na dziesiątki skał, małych meteorów, które pomknęły w różnych kierunkach.

- Uff, udało się, w samą porę. – odetchnął z ulgą czarnoskóry wojownik, widząc, jak brama między światami zmniejszyła się do kilku kilometrów i nadal malała. Chętnie otarłby sobie pot z czoła, ale w rękach trzymał wielką kryształową, mieniającą się barwami tęczy kulę.

Ziemi już znikła w bezpiecznym miejscu, a on trzymał jedyną nadzieję, która im pozostała. Na nieszczęście, oszalały ze wściekłości Brocolli postanowił już zakończyć tę całą farsę i zniszczyć ich wszystkim jednym uderzeniem. Wzbił się wysoko, krzykiem przywołał kolejne pokłady ze swego niewyczerpanego źródła mocy. I wystrzelił promień.

Ogromna, kosmicznych rozmiarów fala ki, która miała w sobie tyle siły, by niszczyć nie planety, a całe galaktyki.

I tylko trzech wojownicy stanęli na jej drodze.

Kiedy Vegeta przekazał mi swój plan, nie mogłem nic zrozumieć. Miałem się spieszyć. Odnaleźć kogoś, o kim wiedziałem tyle, że może ustalić miejsce, w którym znajduje się coś, co jest potężniejsze nawet od smoczycich kul. Nie wiedziałem co to, jak tego szukać, jak tego użyć. Te wszystkie pytania miały poczekać, aż odnajdę ucznia Baby Guli o imieniu Yowamuchi.

Wyobrażałem to sobie jako dziecko, może w tym wieku, co ja wówczas... tymczasem trafiłem na starca.

Kiedy powiedziałem mu to, co Vegeta kazał mi przekazać, byłem pewien, że staruszek weźmie mnie za szaleńca, on za to uśmiechnął się i z zadowoleniem powiedział:

- Prawie tak, jak to przewidziałem!

Powiódł mnie na bok, po czym zaczął czegoś szukać po kieszeniach.

- Gdzie ja to... Kiedy człowiek trenuje przyszlodztwo, różne terazniejsze drobiazgi wypadają z głowy... – mówił ciągle czegoś szukając. - ...czasem lepiej widzi to, co będzie, niż pamięta takie proste rzeczy jak miejsce, w którym schował złożoną w kostkę mapę. – zaskakujące, jak wiele miał zakamarków w swoim ubraniu. – Głupio by było, gdyby cały wszechświat został zniszczony, bo jakiś zapominalski podstarzały profesor zapomniiał wyjąć kartki z szuflady. – zaśmiał się, a ja nabrałam przekonania, że jeśli ktoś tu jest wariatem, to z pewnością on. –Tylko jedna z kilkudziesięciu wizji uwzględniała taki scenariusz, wszystkie inne kończyły się śmiercią, sale wolałem się przygotować. Ten pomysł i tak nie gwarantuje naszego przeżycia...

W końcu wyciągnął coś ze skrytej pod pola płaszcza kieszeni, w której grzebał na początku.

- ...ale nie ma się czym martwić, w końcu jesteśmy postaciami fikcyjnymi. – znów się roześmiał i wręczył mi złożoną na ćwierć kartkę. – Masz, to jest mapa. Tam znajdziesz to, czego szukasz. Wiedziałem, że to może się przydać, więc wyśniłem miejsce ukrycia tego przedmiotu. – bredził bez ustanku -Jak widzisz, jest na środku oceanu, m samym dnie. Bronią go morskie potwory i zmutowani ryboludzie, ale których jest świąty, Al to dla Ciebie nie powinno stanowić problemu.

- A... czego właściwie szukam? – zapytałem zdeorientowany.

Wszystko działo się tak szybko...

- Kamienia absolutu starożytnych, oczywiście! On może spełnić każde życzenie! –ekscytował się. – Ale jego użycie ma pewne skutki uboczne, więc lepiej, żebyś wtedy nie znajdował się w pobliżu Ziemi... i lepiej niech życzenie będzie jak najprostsze. Nie myśl nawet, że to da Ci nieograniczoną moc, albo zabije twoich wrogów... no chyba, że chcesz posłać nas wszystkich do grobu. – znów się roześmiał.

- Znam już życzenie. – odpowiedziałem krótko, chcąc jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. To wyznanie go chyba zaskoczyło.

- Nigdy nie widziałem w swoich snach tego momentu... – jakby spoważniał. Później powiedział mi, co mam zrobić, kiedy już znajdę kulę.

Spojrzałem na mapę. Znałem wyspy, które leżały w pobliżu zaznaczonym krzyżykiem miejsca. Popędziłem tam co sił.

- Spiesz się, chłopcze. – wołał za mną na powrót rozweselony szaleniec.

Miałem tylko minuty, może nawet mniej. Nawet ze wskazówkami od Yowanuchiego mój czas ograniczał się do minut i tylko w jeden sposób mogłem zadziałać tak szybko.

- Demonie! – krzyknąłem. – Demonów, użycz mi swojej mocy!

Różowy potwór, który był moim piętnem od dnia narodzin, nigdy wcześniej nie odpowiedział na moje wezwanie. Nawet gdy cieszyłem z Vegeta, każdorazowo musiałem to poskromić, by móc skorzystać z jego mocy. Tym razem było inaczej. Nawet krwiożerczy Buu wiedział, że tym razem to sprawa inna niż wszystkie...

Do miasta ryboludzi wpadłem jak strzała, pędząc wprost ku szczytowi centralnej piramidy, nie zważając na morskie węże i smoki. Nawet nie zwolniłem, gdy przebijałem strop. Jednym ciosem zniszczyłem ołtarz i wydobyłem kamień, tylko ulotnym spojrzeniem chwytając pełną trwogi spojrzenia wiernych, którzy uczestniczyli wówczas w jakiś obchodach ryboludzkiej religii...

Pomknąłem wprost ku miejscu, gdzie trwała walka. Tunel do prawdziwego wszechświata był coraz węższy, jednak zdążyłem! Wojownicy wytrzymali! Ledwo, ale kontynuowali walkę!

Teraz musiałem się skupić – wszystko zależało ode mnie. Los całego wszechświata spoczął w rękach inkarnacja tego, który niegdyś chciał to zniszczyć. Teraz, po latach, nie mogę nie docenić tej ironii.

Wtedy jednak...

Walka z Brocolim coraz mniej przypominała pojedynek – gigant był niczym twierdzą, którą trzech wojowników bezskutecznie oblegało. A gdy atakował przywodziło to na myśl bardziej starcie człowieka z rozjuszonymi siłami natury. Wszyscy dobrze wiedzieli, że ich porażka jest tylko kwestią czasu, nawet jeżeli nie chciał i tego przyznać.

Pierwszy padł Popo.

Choć przed wiekami powstrzymał Brocoliego w pojedynkę, ten był już o wiele potężniejszy, a setki lat w zamknięciu dały mu czas do przemyśleń. Teraz już dosłownie nie miał słabych stron.

Wszechmogący i Wielki Dono byli wyczerpani już po rozpaczliwej, na szczęście udanej, próbie ratowania Ziemi – teraz ich porażka była tylko kwestią czasu. Jedni z najpotężniejszych wojowników we wszechświecie - wszystkich wszechświatach! – byli dla Brocoliego niczym pyłek, który strzepywał z sandałów.

Na placu boju zostali tylko ci, w których żyłach płynęła krew saian.

Vegeta nie wiedział, jakim cudem udało mu się przeżyć tak długo. Mimo, że mógł stanowić tylko wsparcie, kąsać i drażnić wroga jak natrętna mucha, nie czyniąc mu żadnej krzywdy, a każdy cios który by go dosięgnął był dla niego wróżbą śmierci, nadal pozostawał w grze. Jego dziki, małpi styl walki był trudny do rozgryzienia dla saiańskiego mordercy sprzed pokoleń. Atakowali zawsze we trzech. Jeden twarz, drugi plecy, trzeci brzuch, zmieniając się miejscami jak najwytrawniejsi tancerze... Ale nic to nie dawało.

Każda kombinacja ciosów była odbierana przez kolosa, który był o wiele zbyt szybko jak na swoje rozmiary.

- Ciekawe jak to ci się spodoba. – Vegeta uśmiechnął się krzywo, kiedy przyszła jego kolej atakować z dołu. Goku szykował się do niesportowego ciosu w płacy, Gohan zajmował Brocoliego resztkami sił starając się iść z nim cios za ciosem w zwarcie... a książę saian miał kolejny szalony plan.

Zamiast uderzyć, tak, jak Brocoli przewidywał, całą ki skupił w wierzchu dłoni, by ta była jak najgorętsza... A potem złapał wroga za krocze.

Poculi smród spalonego mięsa i usłyszeli krzyk tak przeraźliwy, jak nigdy dotąd.

Mogło to stworzyć im doskonałą okazję do ataku... gdyby ich przeciwnik nie był żywym źródłem nieskończonej energii. Brocoli, unosząc się w furii, samym naciskiem aury odepchnął przeciwników daleko poza zasięg ich ataków, sam zaś wzbił się jeszcze wyżej, aż poza atmosferę co widocznie nie sprawiało mu problemów.

I wtedy wystrzelił.

Jeszcze nigdy nie widzieli tak wielkiej mocy.

Ściana energii rozmiaru planety zmierzała w ich kierunku.

Kilka kilometrów zostało czwórce trzymającej linę, by zamknąć Ziemię w innym wymiarze...

- Kurwa! Kurwa! Kurwa! – kłął Vegeta. – To jakiś absurd!

- Nie – odpowiedział Gohan. – To już dawno przekroczyło jego granice.

Siła ataku była tak ogromna, że przestrzeń zaczęła się zaginać niczym w pobliżu czarnej dziury. Wszechświat rozpętał się na pół i po jednej części widzieli ciemne kosmiczne niebo, po drugiej zaś zaświaty. Piekielne demony uciekały co tchu z miejsca ich kaźni, nie zwracając nawet uwagi na pojedynek, który się rozgrywał.

Wpadały na Krilana, uderzały o Trunksa i Gotena, potraçały Piccolo, kiedy całymi hordami pędziły w różnych kierunkach. Jeszcze tylko kilkaset metrów...

- Na co czekacie?! – przywołał ich do porządku Goku. – Kaaaaaaameeeee....

- On ma rację! – Vegeta zebrał całe rezerwy mocy. Jeżeli ma tu zginąć, to jak wojownik, nie poddając się do końca. – Bóg hang attack! – krzyknął i fala energii pomknęła na spotkanie swojemu gargantuicznemu krewniakowi.

Atak Brocoliego tylko nieznacznie zwolnił pod naporem Vegety.

- Haaaaaaameeeee....

- Dobrze! – Gohan złożył dłonie na czole. – Masenko!

Uderzył z całą siłą, wspierając Vegetę w nierównej walce z potworem. Zbliżająca się zagłada zwolniła, ale nadal zmierzała nieuchronnie mi nim i nie do końca bezpiecznej jeszcze Ziemi.

- Ha! – dołączył do nich Goku, wykorzystując całą swoją energię. I jego uderzenie złączyło się z pozostałą dwójką, tworząc ogromną falę wspólnej ki... Ale to nadal było zbyt mało.

Promień Brocoliego zwolnił, ale metr po metrze zbliżał się do trójki się do trójki ziemskich obrońców i już był bardzo blisko...

Wtedy Ziemia skryła się całkowicie pod płaszczem pozaprzestrzeni.

- Wreszcie! – zawołał Uub, który już zaczynał tracić nadzieję.

I zabrał się za życzenie.

Świetlisty człowiek wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Trzech najpotężniejszych wojowników we wszechświecie i jego jedyne obrońców zmagало się w pojedynku mocy z potworem imieniem Brocolli, ale ich starania były równie sensowne co próba utrzymania się na powierzchni gdy nadpływało tsunami.

Nieprzejednana, niewyczerpana ki Brocoliego, skupioną w jednym niiedorzecznie wielkim ataku była coraz bliżej i znów nabierała prędkości, ponieważ trójka walczących już słabła... a z każdą sekundą przebiegającej się walki wszechświat pękał.

Już nie sposób było określić, czy są bardziej w zaświatach, czy świecie śmiertelników. Planety świata bogów pojawiały się i znikły nad ich głowami, gwiazdy zmieniały swoje położenie, znikły, albo pojawiały się nowe... kosmiczna pustka zmieniała kolor, wirowała, odkształcała się...

Vegeta i Gohan było już u kresu sił. Nie znający wyczerpania Goku nie miał już więcej mocy do zużycia. Kosmiczne tsunami było już o kilka metrów od nich, w następnej sekundzie mieli już przestać istnieć.

Śmierć patrzyła już im w oczy, uśmiechając się przyjaźnie jak do dawno wyczekiwanych gości.

Przeegrali tę walkę. Nie mogli już nic zrobić. Ich siły okazały się niewystarczające, a wszystkie plany, jakie wysnuli, zawiodły. Nawet ukryta Ziemia zaczęła pojawiać się w swym miejscu niczym powidok, hologram z innej sfery przestrzeni... zaraz siła magii się skończy i nic już. Wszystko już było stracone.

I wszystko się skończyło.

Kiedy wszechświat nie jest w stanie już wyregulować poziomów i wartości energii dochodzi to katastrofy. To naturalny mechanizm, który jest jedyną stałą zasadą w nieraz zupełnie odmiennych rzeczywistościach rozrzuconych na przestrzeni możliwości, w której dosłownie każda idea ma równą szansę zaistnienia, i ile już nie zaistniała.

Skutki tego wydarzenia mogą być różne – od czystej destrukcji, przez zlanie się w jedno zaświatów i świata doczesnego, po zmianę całej rzeczywistości w bliżej nieokreślony obszar bez proto-świata, jak wewnątrz Komnaty Ducha i Czasu. Niektóre nawet zniknęły całkowicie, jakby nigdy ich nie było w całym łańcuchu wszechświatów.

Gdy granica absurdu zostaje przekroczona, wydarzyć się może absolutnie wszystko. Żaden z wędrowców nie wiedział jak temu zaradzić, ani jak uratować świat, w który już zmierzał wprost ku zagładzie. Mogli działać jedynie prewencyjnie.

We wszechświecie saian już nic nie dało się zrobić.

Całą rzeczywistość ogarnęła oślepiająca biała pustka. Zniknęło wszystko, nawet dźwięki. Nie było kształtów, nie było zapachów, nie było niczego...

Był tylko ból i zmęczenie, który promieniował na wszystkie członki i do każdego zakamarka ciała Gohana.

Chwilę przed tym, jak cały świat przykryła biała zasłona, usłyszał jeszcze pełen rozpacz i bólu krzyk.

To nie krzyczał żaden z jego bliskich.

To krzyczał Broccoli.

Białe światło, przepełnione mocą tak wielką, że zmysły pół-saiyaninazwariowały i wyłączyły się, zamykając to w bezpiecznej pułapce snu nieprzytomnego, zawładnęło nad wszystkim... a potem dało wszystkiemu powrócić.

Po wszystkim świat wyglądał zwyczajnie.

Nie było pęknięcia, przez które wylewały się istoty z zaświatów. Przestrzeń nie zakrzywiała się już chaotycznie, a obrazy ze świata bogów nie rzucamy cienia na świat śmiertelników.

Wszystko wróciło do normy.

Nawet Ziemia znajdowała się tam, gdzie powinna.

Gula zdeorientowana podniosła głowę w górę, zastanawiając się, kto właściwie przerwał zaklęcie.

Wołała za swoim uczniem, ale nigdzie nie mogła to znaleźć...

Ziemia, zniszczona i pokiereszowana, przetrwała, a daleko nad nią nikt już nie prowadził walki.

W przestrzeni kosmicznej dryfowało za to kilka nieprzyjemnych ciał.

Gohan. Vegeta. Trunks. Goten. Krilan. Yamcha. Uub.

I Brocolli.

Wszyscy, którzy znajdowali się w pobliżu epicentrum błysku, stracili przytomność.

Wszyscy, ale nie Goku.

Martwa ciało nie może stracić omdleć, przecież i tak nie żyje.

Goku pamiętał niejasno, co zaszło w ciągu ostatnich sekund.

Biel nie miała swojego źródła w Brocollim, ani miejscu w którym ich ataki zderzały się. Światło dobiegło ich zza ich pleców. Spojrzał w kierunku Uub, który trzymał sporą kulę, poszarzałą i ledwie przypominającą o tym, że kiedyś mogła błyszczeć.

- Hmmm... – chrząknął i podrapał się po głowie. Nie nawykł do rozwiązywania takich zagadek. Pamiętał, że chwilę później Brocolli krzyknął, a jego gala ki rozpadła się. Tak samo cała jego przestronna ki, jakby wystrzeliła we wszystkie strony jak odłamki roztrzaskanego szkła... Pozornie wszystko wróciło do normy. Niebo wyglądało jak wcześniej, a Ziemia, choć nadal niespokojna, niedługo dojdzie do siebie. Goku jednak wiedział, że zmieniło się wszystko. Odkąd pamiętał słyszał muzykę tego wszechświata. Energię, która była wszędzie i która wołała do niego. Ten świat wypełniony był mocą.

Kiedyś.

Teraz dawny śpiew zmienił się w ledwie słyszalny szept, tak jakby wraz z mocą Brocoliego... czy raczej wraz z białym błyskiem zniknęło coś bardzo istotnego.

Najpierw ściągnął resztę na powierzchnię planety, ponieważ oni byli żywi i nie potrafili przeżyć w przestrzeni kosmicznej, a potem poleciał do swojego przeciwnika, teraz nieprzytomnego i bezbronno jak dziecko. Choć powinien umrzeć przez przebywanie w próżni, jakimś cudem przeżył. Miał w sobie ogromną wolę przetrwania.

I był jedynym z zagrażających Ziemi niebezpieczeństw, którego nie zdołali pokonać w walce. Tylko co się właściwie wydarzyło?

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

Chwycił ogromną cielsko nieprzytomnego saianina z innej epoki i zawiesił to sobie na ramionach. Wtedy zauważył, że Brocolli odzyskał coś, co dawno temu musiało być mu zabrane –wraz z nogami zwisał gruby, brązowy, małpi ogon.

Zupełnie tak, jak u Vegety...

- Przykro mi kolego. – podrzucił go na plecach, poprawiając ułożenie ciężaru. –Nikomu nie życzylbym takiego losu, ale złożyłem obietnicę. – powiedział.

Później jeszcze raz obrzucił Ziemię tęsknym spojrzeniem.

Oklamał swojego syna. Dobrze wiedział, że nawet jeżeli wróci, to nie dane im będzie porozmawiać. Jego czas się kończył. Pomyślał I wszystkich swoich bliskich, których tu pozostawiał. O tym, co ich czeka...

I zniknął.

- Obudził się już? – to było nieodmiennie pierwsze, co Uub mówił, kiedy tylko odwiedzał Popo w nowym Pałacu Wszechmogącego. Kilka dni temu magowie, którzy postanowili ujawnić swoją obecność, by pomóc ludzkości podnieść się z kolan, odbudowano to z gruzów przy pomocy czarów.

Co prawda nie znajdował się on już ponad chmurami, tylko na Ziemi, tam, gdzie spadł... a Popo nie był już Wszechmogącym. Choć wszystko na pierwszy rzut oka wyglądało tak, jak przedtem, a zwykli ludzie nie odczuli żadnej zmiany, wszystko teraz było inaczej.

Pierwsze co zauważyli, kiedy już doszli do siebie, to to, że ki każdego z nich jest jakby przygaszona, trudniejsza do wycucia... później zrozumieli, że stracili część swoich sił. Popo twierdził, że na zawsze.

Mówił, że ogromne poziomy mocy, jakie wytworzył ten wszechświat w niektórych jednostkach w pobliżu Brocoliego, wynikały tylko i wyłącznie z jego obecności, a teraz, kiedy zniknął, wszechświat dokonał w jakiś sposób samoregulacji. Nie było już pojedynczych istot zdolnych obracać w proch planety.

Uub zastanawiał się tylko, co stało się z Brocolim – przecież nie prosił o to, by ten zniknął. Życzył sobie jedynie tego, czego chciał Vegeta – By Brocolli odzyskał ogon..

- Oj, witaj Uub. – Popo jak zwykle zabrał się do parzenia herbaty. – Niestety, Gohan nadal przebywa w śpiączce. Ale żyje. Jak z tobą? - zapytał tonem pełnym współczucia. – Przyzwyczyłeś się do straty?

Świetlisty człowiek ostrzegał, że za spełnienie życzenia będzie trzeba zapłacić. Brocolli miał coś odzyskać, więc Uub musiał oddać coś podobnego...

Gdy odzyskał przytomność zdał sobie sprawę z tego, co to było. Zawsze na dnie duszy czuł tę ciężar i obecność... a teraz był sam. Demon zniknął bezpowrotnie. Uratował wszechświat, odkupił swoją grzechy i odszedł w niebyt.

Ale to nie była cała cena.

Czarnoskóry chłopiec doznał podwójnej pustki. Wraz z Buu, zniknęło także wspinanie o Najstarszym. Choć nie uświadamiał sobie tej obecności, tej ciepłej iskry na co dzień – od razu zorientował się, że już to z nim nie ma...

Tamtego wieczora znaleźli go płaczącego.

- Tak, jest już lepiej. Minął tydzień... nadal brak kontaktu z bogami? –zapytał.

To była druga rzecz, jaką sobie uświadomili.

Zaświaty i świat bogów albo zniknęły, albo coś nie pozwalało nawiązać z nimi połączenia. Popo wspominał niegdyś o niskoenergetycznym świecie, gdzie nie możliwe było przebicie się przez barierę rzeczywistości... Tak czy inaczej nikt już mi mógł tego zrobić. Ani kami, który dlatego przestał już być kamim, ani żadne medium. Nikogo też nie można było wskrzesić. I, z tego co mówił Popo, smocze kule raczej się nie zregenerują. Nie w rzeczywistości, w której energia jest tak rozproszona i nieznaczna...

Tak, wszystko się zmieniło. Wszystko się skończyło.

- Muszę ci podziękować. – Wielki Dono zbierał się do drogi wraz z Rero i Koko, którzy przeżyli jakimś cudem. Nie miał m. sobie zbroi. Ich moc również została zredukowana.

Miało za to sporych rozmiarów pakunek, który trzymało dwóch podwładnych Dono.

- Nie ma za co. – odparł Uub.

- Wręcz przeciwnie. – upierał się przywódca Wędrowców. – To, że pozwalasz nam to zabrać... Dzięki tej kuli uratowałeś wszechświat. I pokazałeś nam, że można to zrobić inaczej, niż przez zniszczenie go, kiedy tylko nabierzemy podejrzeń.

- Jeśli ma się wam przydać, żeby uratować innych, to weźcie ją.

Popo tylko uśmiechał się znad filiżanki herbaty i wspominał inny wszechświat, daleko stąd, który odwiedził dawno temu.

- A Ty, bracie, miałeś rację. – przyznał Dono ze wstydem. – Zabłądziliśmy w destrukcji... Ten wszechświat był wyjątkowy. I pomógł nam znaleźć sposób, by uratować wszystkie inne. Dokończył mówić i wszyscy trzej zniknęli na jego znak, bez zbędnych pożegnań.

- Był... – odezwał się w końcu Popo, a potem spojrzał na Uuba jakby coś w nim dojrzał. – Sądzę, że nadal jest. – upił kolejny łyk ciepłego płynu.

Wszystko się skończyło.

...na pewno?

Rozdział XV i ½ Gokugaiden vol. 3

Nim dotarł do świata Yardatian, do mackostwora imieniem Jalbadonat, kilkakrotnie musiał ogłuszyć Brocoliego, nim ten się na dobrze obudził. Teraz, kiedy tamtemu odrósł ogon, nie było to szalenie trudne. Goku za to powoli zaczynał rozumieć zależność między obecnością ogona, a końcem transformacji swojego przeciwnika.

Pierwsze, co go uderzyło w widoku W0, jak Yardatianie określali swój wszechświat, był spokój. Nikt nie pozostawał w stanie gotowości, wszyscy zachowywali się jakoś niespiesznie, jakby zagrożenie już minęło.

Nawet kosmiczne wieloryby, bardzo wyczulone na wszelkie niebezpieczeństwo, przepływały w pobliżu uśpionego mackostwora, by zjadać zgromadzony przy nim kosmiczny plankton.

Gdy zbliżył się dostatecznie do cielska stwora, zauważył, że nadal wykorzystuje on podłączone do siebie ciało Paikuchana o za jego pomocą prowadzi z tutejszym starszym Yardatu ożywioną dyskusję.

- Więc twierdzisz, że rzeczywistość jest jedynie złudzeniem i sumą wariantów pewnych możliwości, które mogą wydarzyć się lub nie, lub tylko nam się wydaje, że się wydarzyły i zasadniczo nie ma różnicy między aktem myśli a realnym działaniem...

Yardatianin pokiwał głową.

- ...równie dobrze można stwierdzić, że świat jest równie realny co sen, albo rzeczywistość taka sama jak fikcja. – kontynuował filozoficzny dysput Jalbadonat.

Starszemu nie dane było jednak odpowiedzieć, bo stwór właśnie zauważył nadciągającego Goku z bagażem na plecach.

- Możesz odejść. – rzucił krótko do Yardatianina, który oddalił się z nieskrywaną satysfakcją. – To jest obiekt całego zamieszania w twoim świecie?

Goku kiwnął głową.

- Nie wydaje się być szczególnie silny. – Paikuchan-Jalbadonat przyglądał się Brocolliemu z nieskrywanym sceptycyzmem. – Zawarliśmy umowę, że dostarczysz mi powód anomalii... czy chcesz, żebym wpadł w gniew?!

Goku wypuścił swój bagaż bez słów a ten zawisł bezwładnie, ponieważ w tym miejscu w tym wszechświecie działała grawitacja. Wyciągnął rękę przed siebie i zmateriałizował w niej energetyczny dysk... po czym jednym ruchem odciął Brocolliemu ogon. Ten natychmiast odzyskał przytomność z krzykiem wściekłości na ustach, od razu przemienił się w legendarnego super-saiyanina.

- O tak! – ekscytował się Jalbadonat, natychmiast wyciągnął macki ku swojej nowej ofierze. Moc saiyanina rosła błyskawicznie, ale mackostwor nic sobie z tego nie robił. Złapał go, po czym wciągnął do wielkiej paszczy, która specjalnie na tę okazję wyrosła w jego obrzydliwym cielsku.

Legenda została zjedzona.

Goku przyglądał się temu wszystkiemu, zły na siebie, że zgodził się w tym uczestniczyć.

Gdy Jalbadonat już skonsumował swoją ofiarę, zwinął się w kłębek niczym w kokon, a w jego wnętrzu coś zaczęło świecić dobrze już znanym Goku białym blaskiem.

Potworna pępowina oderwała się od kręgosłupa Paikuchana-Jalbadonata i mógł stanąć ramię w ramię z Goku, by do temu przypatrywać.

- Niedługo twoje pieczęci znikną, przyjacielu. – powiedział, a saiyanin wzdrygnął się, kiedy usłyszał to słowo. – Już ich nie odnowisz. Chcesz w ostatnich chwilach życia zobaczyć coś wielkiego?

- O czym mówisz? – zapytał Goku, ale Paikuchan-Jalbadonat już podjął decyzję.

Chwycił swojego towarzysza za ramię i obydwaj się przenieśli w inne miejsce.

Było ciemno i ciasno.

Przed nimi, jakby za błoną, albo firana z przewiewnego materiału, był świat znany jako W0.

Nie przebywali jednak w nim, tylko jakby poza... w miejscu, przez które Goku przechodził już niezliczoną ilość razy, gdy teleportował się między wszechświatami.

- Jak Ci się udało tu zatrzymać? – zapytał zaskoczony saiyanin. – To zawsze był łącznik między światami...

- Umiem więcej, niż ci się zdaje. – wskazał na to, co działo się przed nimi. – Przynajmniej umiałem...

We wszechświecie, który opuścili, ciało Jalbadonata zmieniło się w prawdziwy kokon, wypełniony światłem. Pozostałości gwiazd zajaśniały, gwiazdny pył i plankton uporządkował

się w coś na podobieństwo żył, tak, że całość przypominała bardziej żywy organizm niż kosmos.

Świetliste żyły pulsowały i rozrastały się, gdzieś w tym wszystkim Goku stracił z oczu domy Yardatian i zwierzęta...

- Co tam się dzieje?

- Oj, zobaczysz. – z zadowoleniem stwierdził Paikuchan-Jalbadonat. – Tak cykl zniszczenia, jaki zapoczątkowałem będąc ślepą siłą, zakończy się czymś zupełnie odmiennym.

- Co z nimi? Co z Yardatianami?

- Im więcej sił zebrałem, im byłem potężniejszy – Paikuchan-Jalbadonat zamiast odpowiedzieć na pytanie, rozpoczął swój monolog. – tym w większą ciemność popadałem. Nie zdawałem sobie z tego sprawy... nie posiadałem nawet świadomości, póki nie pochłonałem ciała wojownika, którego podobizna stoi obok ciebie...

- Co z Yardatianami do cholery?!

- Aż w końcu myślałem, że jestem bogiem. Prawdziwym bogiem, panem panów, demiurgiem... ale się myliłem. Jakie były moje granice? By znaleźć odpowiedź wysłałem cię z powrotem o twojego świata...

- Odpowiedz!

Gdy przyniosłeś mi tamtego nieszczęśnika, gdy dałeś mi go wchłonać... wtedy zrozumiałem, jak małym robakiem jestem. Wtedy spojrzał na mnie prawdziwy Bóg... i zrozumiałem swój cel. – znów wskazał na obraz przed nimi. Wszechświat niczym komórka, ze świetlistym kokonem jako jądrem, zaczął się dzielić na dwoje... a później te dwie komórki rzeczywistości podzieliły się ponownie. I ponownie. Dzieliły się miliony razy tworząc nowy łańcuch całych wszechświatów.

- Co z Yardatianami, mów!

- Nie żyją... Nie patrz tak na mnie, przecież wszyscy muszą umrzeć. Jak sadzisz, ile lat minęło? – Goku nie odpowiadał. – Sądź, że co się z nami stało?... Inaczej... jesteśmy teraz wszędzie i nigdzie za razem. Poza wszystkimi światami, oglądając je z zewnątrz... Każde miejsce ma swoich mieszkańców... Myślisz, że w czyim domu jesteśmy?

Epilog

Zawsze podobały mi się góry.

Pochodziłem z małej, biednej wioski, która przycupnęła na jednej z tysiąca maleńkich wysp pośród oceanu, której najwyższe wzniesienie było ledwie pagórkiem w porównaniu do szczytów jakie można było znaleźć na Ziemi. Kiedy potrafi się latać, człowiek nie docenia tak prostych przyjemności jak wędrówka.

Góry w których wychował się mój pierwszy nauczyciel, SonGoku, nie były ani najwyższe, ani najpiękniejsze spośród tych, które widziałem przez ostatnie lata, ale to tutaj wracałem najczęściej.

Tu mieszkała moja rodzina.

Jedyna, jaka mi pozostała, gdy okazało się, że podczas walki z Brocollim, gdy byłem zajęty ratowaniem świata, z pamięci wypadła mi mój rodzinna wioska. Całą wyspę zniszczyło tsunami. A potem trzęsienie ziemi. I wybuch wulkanu.

Nikt nie przeżył.

Nikogo nie można było przywołać do życia.

Jakże przewrotnie działał los Dusze, które przybyły z zaświatów - tak jak Goten czy Trunks, czy nawet stary Gohan -i przebywały w świecie śmiertelników, kiedy świat się zmienił, odzyskały życie. Za to ci, którzy wtedy stracili życie, jak Tensinhan, który towarzyszył mi w walce, albo cała moja rodzina... nikt nie wiedział już, czy w ogóle istniały jeszcze zaświaty, do których mogli trafić.

Pozostała tylko wiara...

Mimo to, spośród wszystkich moich krewnych, nawet wliczając w to ukochaną matkę, nikogo nie brakowało mi tak bardzo, jak pierwszego nauczyciela. Ze wszystkimi innymi stratami się pogodziłem, ta jednak męczyła mnie, jakbym wiedział, że to nie może być koniec historii.

Wszystko tu jest możliwe, powiedział mi kiedyś Popo – niegdyś Wszechmogący a dziś właściciel herbaciarni. Wszystko, więc czemu nie to?

- Uub! –piękna, młoda kobieta wybiegła mi na spotkanie.

Patrzyłem na jej krągłości, na włosy falujące na wietrze, gdy do mnie zmierzała. Kolejny powód, dla którego lepiej jest podróżować pieszo.

Rzuciła mi się w ramiona.

- Pan, kochana.

Jak zwykle pachniała jaśminem.

Zdjąłem z pleców pochwę z wydłużającym się kijem, nad nami przelatował żółty obłok kontu, a my kochaliśmy się w wiosennej trawie.

Kiedy było po wszystkim, zapytała.

- Czy już dałeś za wygraną? Zostaniesz tu ze mną.

- Nie dałem za wygraną. – odpowiedziałem.

- Jak długo możesz łudzić się, że on wróci? Kochałam dziadka, ale on odszedł... Czemu w ogóle to szukasz? Sądzisz, że nie dałby nam znać?

- Ja jestem wcieleniem... – próbowałem wyjaśnić.

Zaszła ze mnie i rzuciła się obok, naga i spocona.

- Tak wiem... czasem łapię się na tym, że zapominam całkiem o tym co było kiedyś. – wyznała. – Sądzisz, że więdźmy znów mogą coś majstrować z naszymi umysłami?

- Mają teraz inne rzeczy na głowie.

Gdy tylko społeczność czarodziejów ujawniła swą siatkę powiązań, aż do szczybla prezydenta, przez świat przetoczyła się gął paniki większa, niż podczas apokalipsy. Co i rusz powoływały swoje istnienie i upadały nowe królestwa i republiki. Na razie obyło się bez rozlewu krwi i to chyba była ich największą zasługą.

- Tak czy inaczej, Popo twierdził, że gdy umrzesz poza swoim światem, twoja dusza zostaje unicestwiona. – gdy to mówiła łza pociekła jej po policzku. – Nie ma możliwości, by... Czemu się tak głupio szczerzysz?

- Bo wiem coś, czego ty nie wiesz.

Uderzyła mnie w bark w typowym geście, który sygnalizował ciekawość i poirytowanie, że nie chcę podzielić się z nią nowiną. Mimo to trzymałem ją w niepewności.

Przez te wszystkie lata, kiedy ja nie straciłem nadziei, reszta odводziła mnie od tego pomysłu. Mówili, że to mrzonki, dziecinne wydumane marzenia. Że nie tak działa świat, jakby cokolwiek wiedzieli o tym, jak on wygląda i jaki jest jego mechanizm, szczególnie od czasu, kiedy wszystko się pozmieniało.

Jakby to oni widzieli drzwi...

Dlatego pozwoliłem sobie na to, by trochę ją podręczyć – aż w końcu wyznałem jej powód mojego powrotu.

- Nie dałem na wygraną... ale nigdzie się nie wybieram. – powiedziałem. –Kiedy byłem daleko stąd, dobiegły mnie plotki. Plotki wieśniaków i ich matek, pewnie nie przebywasz z nimi za wiele. – posłałem jej ironiczne spojrzenie. W końcu była naukowcem, córką najslynniejszego uczonego tych czasów, który pierwszy dowiódł metodą naukową istnienia energii ki.

- No mów wreszcie! – ponaglała mnie.

Więc powiedziałem.

- W wiosce na południe stąd, po drugiej stronie gór...

- Tak? – Nie mogła się doczekać.

- ...pojawilo się dziecko z małpim ogonem.

Koniec